

Ruchy (anty)miejskie

15 lipca 2021

W minionym trzydziestoleciu przyzwyczailiśmy się myśleć, że jedyną rewolucją, jaką przyszło nam oglądać, była rewolucja roku 1989 i idąca za nią transformacja gospodarcza i społeczna. Transformacja ta jest centralnym elementem zbiorowej świadomości zdecydowanej większości Polek i Polaków i nie bez przyczyny. Była ona zjawiskiem bezprecedensowym – całkowitą zmianą paradygmatu dokonaną bez jednego wystrzału. Wydarzenia tamtych lat do dziś stanowią o osiach konfliktu rozpalających polityczne serca i głowy i nic w tym dziwnego. Dziwnym za to jest, że tuż obok, niedługo później, wydarzyła się inna rewolucja, równie bezkrwawa i równie donośna w skutkach – ale przezroczysta i całkowicie niezauważona.

Aby zrozumieć doniosłość tej drugiej, modernizacyjnej rewolucji, musimy cofnąć zegary o dwadzieścia lat. Wylądujemy w roku 2001 – gdzieś pomiędzy wielką powodzią, która zniszczyła Wrocław latem 1997 roku, a wejściem Polski do Unii Europejskiej w maju 2004 roku. Ówczesna Polska jest krajem na rozdrożu. Zdecydowanie nie przypomina już Polski doby wczesnej transformacji. Zniknęły jej atrybuty – wszechobecne kioski „szczęki”, z których toczył się handel, „Ruscy” przyjeżdżający i handlujący towarami ze Wschodu. Pojawiły się już pierwsze atrybuty nowej, kapitalistycznej stabilności – mamy pierwsze korporacje, w Warszawie rosną już biurowce, w radiu Kazik z zespołem Yugoton wyśpiewują odę do rycerzy nowych czasów, a cała Polska nuci ją razem z nimi. W końcu każdy śni o tym, żeby być nowoczesnym i pracować w szklanym biurowcu – a niektórym nawet się to już udało. Powoli dostosowujemy się do Zachodu – od kilku lat obowiązuje już zbliżone do europejskiego prawo autorskie, objawiające się tym, że coraz mniej teatrów jest w stanie wystawić Kubusia Puchatka, ale również wejściem na nasz rynek wielkich marek odzieżowych i nie tylko. Mamy już oryginalne płyty cd i kasety, choć te

odchodzą powoli w przeszłość. W rękach trzymamy telefony komórkowe, a w kinach oglądamy najnowsze filmy w dniu ich ogólnowsiatowej premiery. Wakacje umilają nam koncerty zespołów muzycznych, które dotychczas nigdy tu nie przyjeżdżały, a malowane na murach napisy i ręcznie powielane plakaty już całkiem zostały zastąpione przez billboardy i podświetlane szyldy. Nadal jesteśmy głodni sukcesu, ale ten sukces już się zaczął materializować i powoli zaczynamy rozumieć, że nie wszystko udało się tak, jak powinno.

W tym miejscu warto zadać pytanie: kim jesteśmy? To ważne, bo odpowiedź na nie jest kluczowa dla zrozumienia dalszego biegu wypadków. Mamy około dwudziestu lat – najstarsi z nas urodzili się w późnych latach 70., najmłodsi – najdalej dekadę po nich. Wszyscy pochodzimy z miast. Oczywiście przede wszystkim z tych największych, ale całkiem sporo nas również w tych mniejszych. Nasze rodziny mają różne statusy, ale wszyscy otrzymujemy bardzo dobre wykształcenie. Nikt z nas nie kończy nauki na maturze, wszyscy uczymy się języków i kolekcjonujemy certyfikaty ich znajomości. Doświadczeniem pokoleniowym, które nas połączy, a o czym jeszcze nie wiemy, będzie kryzys roku 2001, który najstarszym z nas zwichnie dobrze zapowiadające się kariery, a tym młodszym po prostu je uniemożliwi. Wtedy jeszcze nie zdajemy sobie z tego sprawy, ale już za chwilę zauważymy, że zamknęły się drogi awansu na sam szczyt. Nasi starsi o kilka lat koledzy i koleżanki okopali się wysoko – im wystarczyła znajomość języka angielskiego, odrobina szczęścia i odrobina bezczelności. My, już zdecydowanie lepiej od nich wykształceni (pierwsi absolwenci „nowoczesnych” kierunków – zarządzania, marketingu, dziennikarstwa, politologii, europeistyki) boleśnie zderzymy się ze szklanymi drzwiami, które zatrzasnęli nam przed nosem. Oni zarabiają, pracując po kilkanaście godzin dziennie w korporacjach, ale mają etaty, urlopy, służbowe samochody i wszystkie symbole statusu, jakie tylko możemy sobie wyobrazić. My mamy w rękach dyplomy, certyfikaty znajomości języków i... nie mamy pracy. A jeśli ją mamy, to jest to już praca prekarna, najczęściej na

śmieciówce. Różnica w naszym statusie jest ogromna – a przecież jesteśmy tak samo ambitni, tak samo głodni sukcesu i tak samo jak oni chcemy zmieniać świat dookoła nas.

Sukces naszych starszych kolegów i koleżanek był na swój sposób egalitarny. W mniejszym stopniu zależał od znajomości i ustalonych układów, a w większym od własnej zaradności, sprytu i świadomości, że jeśli nie wykorzysta się tej jednej jedynej szansy, to następnej może nie być. Ten bardzo charakterystyczny, straceńczy wręcz pęd opisał Sławomir Shuty w swojej powieści „Zwał” (2004) – była ona swoistym epitafium dla drogi, którą przeszło jego pokolenie. My czytaliśmy ją już jak bajkę z innego świata, choć nadal robiła ona na nas wielkie wrażenie.

Prekarność naszej pracy, ale też wciąż względnie dobra sytuacja finansowa naszych rodziców pozwala mieć to, czego nasi starsi koledzy nie mieli – czas. Czas ten pozwoli niektórym z nas podróżować, ale przede wszystkim uczestniczyć w życiu raczkującego Internetu. To my zaludniamy pączkujące wówczas fora internetowe, to my żyjemy na czatach i na gadu-gadu. I to właśnie tam, w czeluściach Internetu poznawanego przez pierwszą Neostradę, zaczynamy się kontaktować i wymieniać poglądami. Początkowo jesteśmy ostrożni – narzekamy głównie na niemożność. Tu jest brzydko, tam jest kałuża, tam wali się jakaś ruina. Szukamy swojego miejsca na ziemi i usiłujemy się jakoś zdefiniować. Już wiemy, że nie będziemy jak nasi starsi koledzy – świat korporacji jest jeszcze bardzo płytki i nie jest w stanie wchłonąć nas, roczników wyżowych. Jesteśmy sfrustrowani i szukamy czegoś, co ma jakąś wartość, co da nam sens. Rozsadza nas potrzeba działania – choć nie jest nas dużo, szybko zauważamy, że jest nas wystarczająco wiele, aby się spotkać i razem zacząć coś zmieniać. Naszym polem działania staje się przestrzeń dookoła nas – jesteśmy wyczuleni na genius loci, dajemy się porwać nowym narracjom osadzającym nas w małej ojczyźnie, którą wymyślamy na nowo, w kontrze do tej przaśnej, którą widzimy dookoła. Uciekamy w

głowach do wyidealizowanego przedwojnia, do XIX wieku, kiedy nasze miasta rosły, kiedy budowano wielkie pałace, kamienice i fabryki. Zachłystujemy się historią, ale naskórkowo – uczymy się nazwisk przemysłowców i rabinów, protestanckich pastorów, architektów i filantropów. Odkrywamy utraconą niemieckość i żydowskość, ale ograniczamy się do ich artefaktów. Interesują nas stare napisy na murach, sprzątamy stare cmentarze, staramy się ocalić wciąż istniejące świadectwa przeszłości, które zaczynają znikać pod rozpędzającym się walcem modernizacji. Oglądamy z przerażeniem jak wyburzane są kolejne fabryki i kamienice, jak działki po nich zamieniają się w parkingi albo place budowy, na których rosną blaszane hipermarkety. Czujemy, że tak nie powinno być i powoli dojrzewamy do buntu.

Nasze działania na początku są partyzanckie. Skrzykujemy się na forach internetowych, działamy akcyjnie. Koło mieszkania jednego z nas jest rozjeżdżony trawnik? Przekopujemy go i zasadzimy rośliny! Widzimy pomazany rasistowskimi hasłami mur? Zamalujemy go farbą. Na przedpołu ważnego, reprezentacyjnego budynku jest wielka błotnista kałuża? Urządzimy happening, w ramach którego będziemy się w niej kąpać i ośmieszymy tym urzędników. Nasze akcje są błyskawiczne i spektakularne – i podobają się mediom. Umiemy zrobić to, czego nie potrafił nikt przed nami w sposób tak zorganizowany – potrafimy dostarczyć news.

Szybko przechodzimy kolejne etapy organizacji. Zakładamy stowarzyszenia, a nasze akcje stają się coraz lepiej zorganizowane i sięgamy coraz głębiej. Powoli przestaje nas interesować prosta reakcyjność na istniejącą brzydotę, zaczynamy się rozglądać za rozwiązaniami systemowymi. W międzyczasie otwiera się przed nami Europa – część z nas wyjeżdża turystycznie, część zarobkowo, część za pomocą uczelnianych programów wymiany. Podglądamy, jak wyglądają i działają miasta zachodnioeuropejskie – niemieckie, holenderskie, belgijskie, duńskie. Szybko zauważamy, że nasza nadwiślańska modernizacja jest spóźniona względem tej

europiejskiej o trzydzieści lat. Podczas gdy w Polsce ciągle zachłystujemy się mirażem budowy autostrad, wieżowców i wielopasmowych ulic, zachód Europy wielkim kosztem odtwarza to, co uległo zniszczeniu w wyniku takiego samego zachłystnięcia się trzy dekady wcześniej. Z zaskoczeniem odkrywamy, że tamte miasta nie są tylko estetyczne, ale też przyjemne do życia – zielone ulice zaludnione są przez kolorowo ubranych, różnorodnych ludzi, restauracje wystawiają stoliki wprost na ulice, a centra miast nie są zawałone samochodami. Dużo osób jeździ rowerami, jeszcze większa ich ilość korzysta ze sprawnego transportu publicznego. Oglądamy centra miast i jesteśmy nimi zafascynowani – chcemy tego samego u nas w Polsce. Stajemy się apostołami nowego urbanizmu – powrotu do centrów miast. Wieszczymy odejście od powszechnego usamochodowienia, niekończącego rozlewania się miast na przedmieścia, biznesowo-biurowych monokultur podobnych sławetnemu Mordorowi na ulicy Domaniewskiej w Warszawie.

Wracamy do swoich miast i ze zdwojoną energią przystępujemy do ich upiększania. Organizujemy plebiscyty, które mają zawstydząć władze, palcem wskazujemy wszystkie niedociągnięcia i zapuszczone przestrzenie. Dopominamy się o ścieżki rowerowe, sprawny transport miejski, remonty kamienic. Dużo czytamy i domagamy się partycypacji w podejmowaniu decyzji. Ku zdumieniu urzędników, licznie stawiamy się na konsultacjach społecznych i zamieniamy je w miejsca gorących dyskusji. Zmiany, które do tej pory przechodziły bez żadnego oporu, muszą zatrzymać się w pół kroku. Już nie można łatwo przeprowadzić trasy ekspresowej pod oknami dużego osiedla – nowe, prężne stowarzyszenie młodych mieszczan wystąpi z ostrym sprzeciwem. Plan miejscowy zakładający wyburzenie całego kwartału kamienic zostanie oprotestowany, przeciągnięty przez wszystkie media i w efekcie utracony. Wymuszamy użycie nowych narzędzi współpracy – warsztatów, spacerów badawczych, planowania partycypacyjnego, a w końcu budżetu partycypacyjnego. Jest nam o tyle łatwiej, że szybko znajdujemy sojuszników. Rekrutują

się oni z bardzo różnych grup. Część z nich to starsi działacze społeczni, członkowie towarzystw przyjaciół miasta, towarzystw opieki nad zabytkami czy klubów miłośników starych tramwajów. Inni to akademicy – albo niewiele od nas starsi, dopiero rozpoczynający naukową drogę życiową, albo ci, którzy są już na akademii od jakiegoś czasu, ale raczej nie w głównym nurcie. Wreszcie zaczyna nas popierać biznes – najszybciej nadchodzącą zmianę zaczynają rozumieć właściciele nieruchomości, a wydatnie pomaga im w tym nowy kryzys – kryzys roku 2008.

Przed tą datą dla zdecydowanej większości właścicieli nieruchomości jej prawdziwą wartość stanowiła wartość działki. Znajdujące się na niej budynki, nie daj Boże zabytkowe, są tylko kłopotliwym problemem. Typowym sposobem „zagospodarowania” takich działek jest wykupienie ich za bezcen od syndyka lub spadkobierców dawnych właścicieli, a następnie „przypadkowe” podpalenie i wyburzenie stojących tam budynków. Zazwyczaj dzieje się to w piątek popołudniu, gdy służby konserwatorskie i nadzór budowlany już nie pracują – sarkastycznie mawiamy, że „burzymurek” zawsze przychodzi wieczorem lub nocą. Na palcach jednej ręki daje się policzyć inwestycje, w wyniku których zabytkowe budynki nie znikają z powierzchni ziemi – ogromna większość starszych budynków jest fizycznie zagrożona. Uczymy się przeciwdziałać – prowadzimy dyżury, fizycznie pilnujemy budynków, wkuwamy wszystkie kruczki proceduralne, walczymy o wpisy do ewidencji i rejestru zabytków. To morderczy wyścig z czasem, który nie zawsze wygrywamy – ale mamy swoje sukcesy. Jeśli symbolem oporu dla pokolenia naszych rodziców był opornik w kłapie i styropian, na którym spali podczas strajków studenckich, to dla nas są to pisma do konserwatora zabytków i kładzenie się na ziemi, aby koparka nie mogła rozpocząć rozbiórki.

Po roku 2008 sytuacja się zmienia. Pęka bańka na rynku nieruchomości, ceny działek lecą na łeb na szyję. Wczorajszy doskonale położony teren inwestycyjny staje się dzisiejszym

kamieniem u szyi. Taśmowo plajtują spółki, spółki córki i spółki córki spółek córek, które jeszcze przed chwilą żwawo obracały działkami, kamienicami, fabrykami. Właściciele nieruchomości rozpaczliwie szukają pomysłów na taką ich adaptację, aby chociaż ograniczyć straty, a w najlepszym wypadku wyjść na zero. I wtedy w sukurs przychodzimy im my, nowi mieszczenie.

Wtedy nie widzimy jeszcze, że rzucały im koło ratunkowe i że nadajemy pierwszy zamach potężnemu kołu, które za chwilę zmieni nasze miasta. Entuzjastycznie i zupełnie za darmo dzielimy się wiedzą. Opisujemy całe dzielnice, które z poprzemysłowej i pokryzysowej smuty wyszły na prostą. Rewitalizacja staje się naszym słowem-kluczem, choć każdy z nas rozumie je nieco inaczej. Podnosimy konieczność przeniesienia wydatków publicznych na remonty zabytkowej tkanki miejskiej, na pomoc przedsiębiorcom posiadającym takie nieruchomości. Zapełniamy je działaniami offowymi – w zamian za bardzo niski czynsz lokujemy tam siedziby naszych stowarzyszeń, zakładamy klubokawiarnie, tworzymy miejsca koncertowe i sklepiki ze starymi rowerami. Martwe fabryki i kamienice rozbrzmiewają nowym życiem – najpierw przychodzą wtajemniczeni, ale tuż za nimi pojawiają się pierwsze fale alternatywnej młodzieży, dzisiejszych millenialsów – to oni są naszymi pierwszymi odbiorcami i to oni natychmiast porównują nas ze swoim wyobrażeniem nowoczesności. Jesteśmy nowi, jesteśmy hipst – dobrze jest się wśród nas pokazywać. Tę nową modę zaczynają podchwytywać również politycy – prezydenci miast zaczynają wsiadać na rowery, otwarcie mówić o tym, że trzeba robić partycypację, współpracować i zmieniać miasta. Zatrudniają wręcz niektórych z nas w urzędach – ale ta pierwsza fala jeszcze rozbija się o mur wewnętrznej niemocy. Na razie jesteśmy ciekawostką, modną paprotką, którą warto mieć koło siebie. Nie wiedzą jeszcze, że nasze ambicje sięgają znacznie dalej.

My powoli zaczynamy czuć swoją siłę. Poznajemy się, jeździmy z

miasta do miasta, w końcu powołujemy Kongres Ruchów Miejskich. Wreszcie mamy przestrzeń, gdzie możemy się spotkać, wymienić informacjami, sposobami walki. Jesteśmy coraz mocniejsi – na pierwszym Kongresie jest nas kilkudziesięciu, na drugim – ponad setka. Na trzeci przyjeżdża wysłannik z ministerstwa chcąc nas poznać i opowiedzieć o rodzącej się Krajowej Polityce Miejskiej. Jest rok 2013, dwa lata wcześniej ogłosiliśmy Tezy Miejskie, w których spisaliśmy nasz program działania. Pierwsza i najważniejsza z nich brzmi: mieszkańcy mają niezbywalne prawo do miasta. Mieszkańcy – czyli my.

Aby dobrze zrozumieć to, co się wydarzyło, musimy znowu przyjrzeć się naszym miastom. Wyglądają one wtedy już zdecydowanie inaczej niż dekadę wcześniej. Jesteśmy w środku unijnej perspektywy pomocowej, a samorządy na potęgę estetyzują ulice i place. Nie mogą już tego robić po staremu – muszą oglądać się na nas i przychylnie nam media. Pamiętają doskonale nasze akcje i happeningi, więc starają się oddawać nam ogarek. Powstają pierwsze ścieżki rowerowe z prawdziwego zdarzenia, pojawiają się pierwsze kompleksowe programy remontowe kamienic, a główne ulice i place naszych miast przechodzą metamorfozy. Wciąż jest mnóstwo betonu, granitu i żeliwnych słupków, ale efekt już znacznie bardziej przypomina centra zachodnich miast. Z ogromną mocą wspieramy te zmiany, widząc ich pozytywny estetyczny wyraz. Oczywiście ganimy niedociągnięcia i grozimy palcem, ale też często dajemy pochwały i rozdajemy nagrody. Nie bardzo przejmujemy się tym, jakie ta forsowna estetyzacja przynosi efekty, cieszy nas sama zmiana i tempo, w jakim ona następuje. Część z nas czuje się usatysfakcjonowana – to ci, dla których liczy się przede wszystkim wygląd miasta i wygoda korzystania z oferowanych przez nie usług i atrakcji. Odmalowane fasady kamienic, równe chodniki, posadzone pod linijkę drzewka i kwietniki wypełnione kwiatami a nie przypadkowym chwastem – są tym, czego oczekują i nie trzeba im wiele więcej. Powoli przechodzą na pozycje typowo mieszczańskie, szczególnie że sytuacja na rynku pracy zdecydowanie się poprawiła, a oni sami nie są już studentami

czy prekariuszami. Pozostali jednak walczą dalej – i będą musieli przegrać, aby wygrać.

Dla wielu z nas jest to moment refleksji. Powoli widzimy, że dostępne nam drogi działania znów się wyczerpują. Jedni uważają, że należy się sprofesjonalizować i przejść na pozycje eksperckie. Inni – że należy założyć własną „partię miast” i wejść do polityki. Jeszcze inni, że należy przejść przez instytucje, ale nie tak, jak za pierwszym razem, gdy wchodziliśmy tam bez przygotowania i trochę na oślep, ale porządnie, z ustalonymi zakresami kompetencji i mocy sprawczej. Nie jesteśmy w stanie dojść do porozumienia, więc się dzielimy. Część z nas startuje w wyborach samorządowych – i sromotnie przegrywa. Jesteśmy spóźnieni, przegapiliśmy nasz moment, wyhamowała nas bratobójcza walka PiS vs. antyPiS. Zawodowi politycy nas zjedli – ci nastawieni bardziej modernizacyjnie i proeuropejsko po prostu przejęli nasze hasła i przecinali wstęgi na tle inwestycji, które realizowali wedle naszych idei i postulatów. Oczywiście według nas robili to powierzchownie, pod publiczkę i wypaczając ideę, ale nasze głosy już nie przebijają się tak dobrze jak kiedyś. Rok 2014 jest dla nas bardzo zimnym prysznicem – i choć udaje nam się zdobyć kilku radnych, współrządzić niektórymi miastami i nawet mieć jednego prezydenta, to droga wyborcza okazała się być ostatecznie ślepą uliczką. Nasze drogi się rozchodzą, a wielu odtrąbiło nasz koniec.

Dopiero z perspektywy siedmiu lat widać, że wieści o naszej śmierci były przedwczesne. Jesteśmy doskonale zsieciovaną i kompetentną grupą wpływu. Znajdujemy się u szczytu naszych karier – jesteśmy radnymi i posłami, zajmujemy ważne stanowiska urzędowe. Jesteśmy cenionymi ekspertami doradzającymi samorządom i agendom rządowym, pracujemy na kierowniczych stanowiskach w ministerstwach i spółkach skarbu państwa. Prowadzimy z sukcesami własne firmy, robimy kariery akademickie. Wiele z nas po drodze zrobiło doktoraty i habilitacje, a jest też kilku, którzy mają już tytuł

profesora. W naszych miastach nic nie dzieje się bez naszej wiedzy – choć nie musi to wynikać z naszych działań. Mamy pilnych i pojętnych uczniów. Jak Polska długa i szeroka widać znaki naszego sukcesu – odnowione kamienice, ścieżki rowerowe, woonerfy, parklety, zwężane ulice, schłodne ogródki pod parasolami jak ze śródziemnomorskiego obrazka, pięknie przyciętą i podlaną zieleń. Jeśli parking, to raczej schowany i obudowany innymi funkcjami, a samochód coraz częściej staje się nieproszonym gościem. Nie spoczywamy na laurach – wciąż jest tyle do zrobienia! Ale czy na pewno wszystko, co zrobiliśmy, zrobiliśmy dobrze?

Gdy spoglądam wstecz, widzę, że ta bezkrwawa rewolucja wcale nie obyła się bez ofiar. Ofiar, które znikwały w ciszy, bardzo często w sposób niezauważony, albo wręcz przeciwnie, z poczuciem ulgi. Tym, co musiało odejść jako pierwsze, było to, co było najbardziej nieestetyczne. Wypowiedzieliśmy wojnę na śmierć i życie obskurnym budom, nie przyjmując do wiadomości, że rugując je z miejskiej przestrzeni zabieramy ludziom dostęp do taniej żywności. Tam, gdzie stał rząd budek z pieczywem i warzywami, dziś najczęściej jest skwer albo pusta, estetyczna przestrzeń. Gdy byliśmy młodzi, kupowaliśmy w tych budkach zapiekanki, hamburgery czy frytki, później kebab. Dzisiaj nie kupimy już w nich nic, bo ich po prostu nie ma. Stać nas na to, aby zjeść w restauracji – ale czy aby każdego jest stać tak jak nas?

Zawłaszczaliśmy przestrzenie, dotąd wspólne. Uporządkowaliśmy ulice i targowiska – tam, gdzie stały zwykłe krzywe stragany z chińską tanizną, dzisiaj często jest pusty plac i fontanna. Niektórym z nas marzyły się klimatyczne targi, ale przecież klimatyczność nie powinna być swojska i nasza, lecz historyzująca i estetyczna. Chodzimy więc na eko-targi, organizujemy jarmarki rękodzieła, na których wystawiają się w różnych miastach wciąż te same, wyspecjalizowane w nich osoby. Dwie marki kraftowego piwa, kilku producentów serów, trzech producentów wędlin, obowiązkowe stoisko z grzanym winem

jednego producenta, do tego kilka straganów z ręcznie robioną biżuterią i szytymi z filcu pluszakami – jeśli widziałeś jeden, widziałeś je wszystkie. Wydawało nam się, że pragnęliśmy autentyczności, ale tak naprawdę chodziło nam o estetykę i o aspirację do tego, co kiedyś zobaczyliśmy na Zachodzie. Wielki biznes patrzył na to z radością – ogromny sukces „zrewitalizowanej” Hali Koszyki w Warszawie pokazał, że sztuczna „miejskość” i „autentyczność” sprzedają się doskonale.

Największym jednak naszym „sukcesem” jest „odżulenie” centrów naszych miast. Od zarania swojej działalności walczyliśmy z „żulem” – symbolem patologicznej, zdegenerowanej tkanki ludzkiej, złośliwym nowotworem, który zjadał nasze miasta. Powtarzaliśmy sobie, że PRL zepsuł nasze miasta, bo sprowadził do pięknych kamienic przypadkowych biedaków. Klaskaliśmy, gdy jeden z architektów mówił, że najgorszym, co spotkało łódzkie kamienice, są mieszkający w nich ludzie. Gdy mówił, że trzeba tych ludzi przesiedlić, a na ich miejsce sprowadzić luminarzy i facetów z grubymi portfelami, pukaliśmy się w czoło – zgadzaliśmy się, że trzeba ten problem rozwiązać, ale byliśmy bardziej humanitarni. Uważaliśmy, że musi powstać „miks” – część osób uboższych może pozostać, ale tylko ci, którzy rokują i którzy dadzą się zrewitalizować. Pozostałych zastąpimy my i ludzie nam podobni – młodzi mieszczenie, rodziny z dziećmi, wielkomiejskie single, pracownicy korporacji, wolne zawody. Teraz już nie opłaca się wyburzyć kamienicy, ale należy ją „wyczyścić” z tkanki ludzkiej, wyremontować i sprzedać mieszkania na pniu. Całe kwartały wyludniają się i diametralnie zmienia się ich tkanka społeczna. „Gorsi” ludzie wypierani są do złych dzielnic, a ich miejsce zajmują ludzie podobni nam – w końcu każdy musi gdzieś mieszkać, a mieszkanie jest najbardziej poszukiwanym towarem na rynku. Niechcący uruchomiliśmy lawinę, której nie umiemy już zatrzymać – a wielu z nas wcale zatrzymywać jej nie chce. W końcu co to za przyjemność siedzieć w ogródku i popijać prosecco, gdy nagabuje cię nieładnie pachnący żebrak

i prosi o złotówkę na bułkę? Dobrze, że szybko zajmuje się nim przechodzący właśnie patrol straży miejskiej, niech „żul” sobie nie myśli, że może swobodnie łązić, gdzie chce.

Nasze działania w znakomitej większości są dla nas kompletnie przezroczyste. Uważamy, że tworzymy przestrzeń przyjazną dla wszystkich, ale aktywnie wykluczamy z niej wielu dotychczasowych użytkowników. Na naszych wizualizacjach nie ma chłopaków z brami, pijaczków siedzących na ławkach, starszych kobiet z pieskiem z wyłupiastymi oczami i nogami jak patyki wyglądających z okien. Szybko neutralizujemy wszystkie przejawy ich aktywności – zamałowujemy kibicowskie malunki, usuwamy ławki, na których mogliby siedzieć (tak, wiemy, że ławki powinny być, ale na wszelki wypadek postawmy je tak, żeby nie dało się na nich usiąść większą grupą i żeby nie było ich za dużo, bo ludzie nie będą chcieli korzystać z ogródków knajpianych), krzywo patrzymy na lokale, które ich obsługują. Jeśli zadamy sobie trud, żeby porozmawiać z tymi „gorszymi” ludźmi, to dowiadujemy się, że nasze „dostępne i otwarte miasta” są dla nich z różnych powodów niedostępne lub trudne do przebycia. Całe ulice zapełnione są lokalami, do których nie wejdą, bo nie czują że jest ich na to stać, ale za to czują, że nie pasują ubiorem, zachowaniem, fryzurą. Poza okazjonalną Żabką nie mają gdzie kupić tańszego jedzenia, a kawa z pączkiem, która kiedyś kosztowała kilka złotych, dzisiaj wielu emerytów przyprawiłaby o bankructwo. Wielu biednych czuje swoje niedopasowanie do nowej, estetycznej przestrzeni, a jedyne, co mogą w niej robić, to przemykać szybkim krokiem lub wyładowywać na niej swoją frustrację, ku naszemu oburzeniu. Koło wykluczenia wtedy się zamyka – w końcu skoro „patologia” zniszczyła, to tym bardziej trzeba się przed „patologią” bronić. Grodzić, stawiać kamery, wysyłać patrole. Nawet, a może szczególnie wtedy, gdy ten teren sami przed chwilą tej „patologii” odbiliśmy.

Nasza rewolucja naznaczona jest paradoksami. Choć przegraliśmy, to wygraliśmy. Będąc niewielką i pozbawioną

wpływów liczonych w politycznych szablach czy wielkich pieniądzach nadaliśmy ton miejskiej modernizacji na dziesięciolecie. Nasze sukcesy mają faustowską naturę. Walcząc o rewitalizację – przynieśliśmy też gentryfikację. Domagając się partycypacji, wzmocniliśmy też podziały, oddając władzę w ręce aktywnych i napędziliśmy procesy wykluczenia, mówiąc biernym, że przecież mogli być aktywni. Tworząc przestrzeń „dla wszystkich” i myśląc wspólnotowo, zniszczyliśmy istniejącą w naszych miastach demokratyczną wspólnotę przestrzeni, uruchamiając bądź napędzając procesy znacznie większe od nas samych. Walcząc z zachłannym kapitalizmem i bezmyślną konsumpcją, których symbolem byli dla nas nasi starsi, zadowoleni koledzy w swoich wielkich SUVach, sami torowaliśmy drogę jego nowej, ulepszonej wersji. Sami siebie postrzegamy jako siłę progresywną, europejską i postępową, ale nasza inkluzywność i otwartość ma bardzo jasno sprecyzowane klasowe granice. Jesteśmy dużo bardziej niejednoznaczni niż gotowi jesteśmy się do tego przyznać i najwyższy czas, abyśmy spojrzeli na siebie tym samym zimnym, analitycznym wzrokiem, którym do tej pory obdarzaliśmy tych, którzy byli przed nami.

Autorstwo: Jarosław Ogrodowski

Źródło: NowyObywatel.pl